Rok 1937 12 grudnia Nr 50

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

RORATY

Noc dokoła,
we śnie chaty, —
a w kościółku
już Roraty!...

a w kościółku
pośród wioski
przed ołtarzem
Matki Boskiej

lud się modli!
a na chórze
brzmią organy
i ku górze —

hen ulata
gdzieś w mrok nocny
pieśń skrzydlata:
.....Boże Mocny!!!" E. K.

Zwycięstwo Hani

(Dokończenie)

— Ależ proszę pani, przecież Henryk... — wtrąciła Hania i zawahawszy się, zamilkła.

— Tak, Henryś od pierwszej klasy dobrze się uczy, chociaż to i około domu się napracuje i w nocy nie dośpi i nieraz przymiera z głodu. Ale dobry Bóg, jak jednego odmówi, to drugim pocieszy... Niech Bóg stokrotnie nagrodzi pamięć o mnie...

Hania wyszła i miała wrażenie, że dokonała bardzo wielkiej rzeczy — o tyle wielkiej, o ile ciężko jej przyszło wstrzymać się w porę od wypowiedzenia słów, które byłyby wniosły w dom i tak już pełen nędzy wielkie przygnębienie, a może i rozpacz. To też serdecznym westchnieniem podziękowała owej Wyższej Mocy, którą czuła teraz wewnątrz własnej duszy. Zaczęła teraz myśleć nad tym, jakby zażegnać nieszczęście, które w postaci złego świadectwa wisiało nad rodziną ubogich dozorców.

— Mamusia z pewnością da mu rano śniadanie, wieczorem zaś wezmę go do nas i poproszę Stefana, by mu pomógł w matematyce — planowała sobie w skrytości.

Prośby Hani uwzględniono, a skutek był taki, że następne zadanie szkolne zrobił Henryk bardzo dobrze, wkrótce po tym był pytany, umiał nawet zaległe lekcje i poprawił sobie notę tuż przed ostatnią konferencją.

Hania od ostatnich przykrych nieporozumień z sąsiadami, odczuwała bardzo dotkliwie, że matka straciła wiarę w jej poprawę, że jakiś dziwny chłód wieje od niej w miejsce dawnej matczynej serdeczności. Postanowiła zatem powiedzieć jej o wielkim zwycięstwie, a tym samym pocieszyć oboje rodziców.

Matka, wysłuchawszy wesołej nowiny, ucałowała córkę serdecznie, życząc jej, by pracą nad sobą w połączeniu z pomocą Wyższej Mocy Bożej utrwaliła szczęśliwą przemianę na zawsze.

S. M. K.

13-letni bohater

W jednym z belgijskich portów stała wielka łódź t. zw. „berlinka“, należąca do przewoźnika Rysa. W maleńkiej kabinie bawiło się jego troje dzieci: 13-letni Julek i dwie młodsze dziewczynki.

Nagle z półki spadła bańka z naftą, nastąpił wybuch i płomień zaczął się rozszerzać z błyskawiczną szybkością. Wszystkim groziła straszliwa śmierć w ogniu. Julek jednak nie stracił przytomności. Gołymi rękami porwał płonącą bańkę i wyniósłszy z izby rzucił ją poza burtę łodzi w wodę. Nie zważając na poparzone straszliwie dłonie, wrócił do izby, by ratować pozostałe tam siostrzyczki. Niestety młodsza z nich umarła wskutek odniesionych ran, ocalała jednak starsza. Małego Julka przewieziono do szpitala, gdzie w ciągu długich miesięcy walczył ze śmiercią. Aby ratować ukochane dziecko, ojciec sześć razy dawał swoją krew dla przetoczenia jej w jego żyły. Wreszcie niebezpieczeństwo minęło.

Obecnie Julek jest rekonwalescentem na tyle już silnym, że mógł przeżyć wielką uroczystość, jaką mu zgotowano w szpitalu. Oto jeden ze starszych wojskowych przypiął mu do koszuli medal, jaki za bohaterstwo przysłała mu z Ameryki Fundacja Carnegich, odznaczająca wielkie czyny ludzkie. Nadto oświadczono dzielnemu chłopcu, że odwiedzi go sam król Leopold.

Cichutki bohater, który przez długi rok znosił w milczeniu straszne cierpienia, patrzył zdziwionymi oczyma na otaczających jego łóżko gości, na zawieszoną nad jego głową kartę z napisem: „Niech żyje Julian Rys!“ — z jego zaś bladych warg szeptem wybiegło pytanie: Lecz co ja takiego zrobiłem, żeby aż król do mnie przychodził?

Serdeczne wzruszenie wywołało łzy w oczach obecnych na widok tak wielkiej skromności prawdziwego bohatera.

Pragnienie małego sułtanka

Zdawałoby się niejednemu, że dzieci cesarzy, królów, książąt, w ogóle panujących, nie mogą mieć już chyba pragnień, bo wszystko przecież, co się im jeno przyśni, natychmiast się spełnia. A tymczasem posłuchajmy, czego zachciało się synkowi bogatego władcy Marokka, arabskiego sułtana Mulaj el Hassana:

Ośmioletnie książątko przyjechało niedawno po raz pierwszy do Paryża, aby zwiedzić wspaniałą wystawę. Zaraz na wstępie wyjednała sobie z nim rozmowę pewna dziennikarka francuska, którą bardzo grzecznie powitał.

— Czy jego wysokość miał dobrą podróż? — spytała. — Doskonałą. — Na okręcie bawiłem się w footbal (piłkę), a z Marsylii jechaliśmy samochodem. Bardzo to lubię. Ale, proszę nie myśleć, że ja jestem dzieckiem. Mam dopiero lat ośm, ale czuję się już dorosłym. I jestem opiekunem mego małego brata.

— A ile ma lat braciszek? — Książę Mulaj Abdullah ma dwa lata — odparł z wielką powagą „dorosły“ sułtanik. Po czym opisał dokładnie swoje zajęcia tygodniowe.

— W poniedziałki, wtorki i piątki jeżdżę konno, robię lekcje i grywam w tenisa. W środy, czwartki i soboty pływam w basenie. Trzy razy w tygodniu o 11 rano mam lekcje arabskiego, trzy razy w tygodniu po południu uczę się po francusku. Wieczorem uczę się Koranu (Koran jest to święta księga wyznawców Mahometa, zawierająca naukę owego „Proroka“). W piątki wyjeżdżam z rodzeństwem samochodem do meczetu (świątynia mahometan), — gdzie modli się mój tatuś. To nasze święto; sklepy w mieście są wtedy zamknięte. Wszyscy modlą się w me-

czetach, gdzie iman (duchowny) ma piękne kazanie.

Gdy małego księcia zapytała dziennikarka o najpiękniejsze wspomnienie z jego niedługiego jeszcze życia, wymienił dzień, kiedy został zwycięzcą w wyścigu pływackim i otrzymał za to trzy medale i trzy dyplomy honorowe. Zapytany wreszcie o najgorętsze pragnienie, odpowiedział: — Chciałbym sobie kupić w Paryżu dużo, dużo zabawek. Bardzo pragnę mieć ładną trąbkę.

Wartoby wiedzieć, ile takich trąbek i wszelakich zabawek ma już w swym pałacu mały książę Hassan i jego braciszek Mulaj; szkoda też, że mu owa dziennikarka nie podsunęła myśli, aby te, którymi się już nie bawią, oddali biednym dzieciom, których najgorętsze nawet pragnienia nigdy się ziścić nie mogą. A może ci mali bogacze nie zrozumieliby nawet, co to jest **biedne** dziecko i jak może ono czegoś pragnąć nadaremnie...

Skoczki powietrzne

Jak w każdym kraju, tak i u nas, przy coraz świetniejszym rozwoju sztuki latania aeroplanami, rozwija się też umiejętność posługiwania się w razie potrzeby spadochronami. Takich „skoczków“ spadochronowych posiada każde lotnictwo tak wojskowe, jak i cywilne, przygotowując ich na licznych kursach dorocznych.

Na jednym z takich kursów np. stanęło do egzaminu 44 „uczniów“, w czym dwie kobiety. Nie widać po nich żadnego strachu.

— Chętnie skakałbym i 50 razy z rzędu, to taka przyjemność — mówi jeden. A drugi, śmiejąc się:

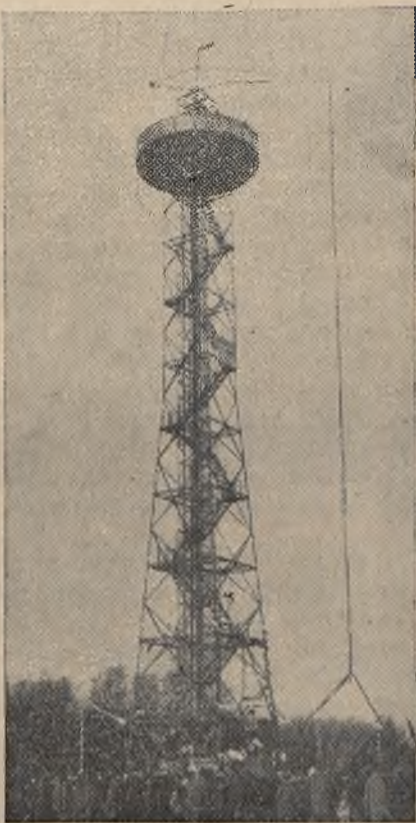
— Nie bałem się skakać z 25-metrowej wieżyczki, ani z balonu na uwięzi, nie ulęknę się również skoku z samolotu.

Rozlega się wreszcie warkot motoru i wspaniały aparat wzbija się w powietrze na wysokość 600 metrów, by stamtąd dopiero wyrzucić 20 skoczków w grupie po 7, wraz z instruktorem.

Samolot raz, drugi i trzeci okrąża lotnisko, aż wreszcie odrywa się od niego jakiś czarny punkcik, który przez kilka sekund wiruje na tle jasnego błękitu nieba. To malutka jak muszka figurka człowieka, który rzucił się w przepaść powietrzną. Czy spadnie jak drobny kamyczek na ziemię, by się tu roztrzaskać w okruszyny?

Ale oto wyrasta już nad nim olbrzymi biały parasol i ciemna figurka spływa łagodnie w dół, unoszona na rozpiętej płachcie jedwabiu, która ją dostawi aż do ziemi.

Dobry początek zrobił sam instruktor. Tymczasem od warczącej w górze maszyny odrywa się nowy czarny punkcik, za nim trzeci i czwarty, i w przeciągu kilku minut



na bezchmurnym niebie jaśnieje sześć białych parasoli, podobnych do olbrzymich grzybów, kołysanych łagodnymi podmuchami wiatru.

Dla nauki skakania ze spadochronem służą obecnie umyślnie na ten cel budowane wieże, o czym pisał swego czasu „Dzwoneczek“. Rycina przedstawia taką właśnie świeżo w Łodzi wybudowaną, a najwyższą w Polsce wieżę dla szkolenia skoczków spadochronowych. Na szczyt tej wieży prowadzi winda elektryczna. W ostatnich czasach przeprowadza się takie szkolenie skoczków wśród harcerstwa i wkrótce do egzaminu przystąpi 170 młodzieńców.

Patrol Lwów

Powieść harcerska. Napisał Kazimierz Kalinowski. (Ciąg dalszy)

Okazało się, że przed trzema dniami przepadła bez wieści pięcioletnia jedyna córeczka młodej wdowy po cyganie kowalu, Socharskiej, najmłodszej z 3-ch zamężnych córek Jacentego. Nikt nie umiał objaśnić, czy mała niemowa, dla śniadej twarzy Czarnuszką zwana, wyszła z domu sama, kiedy wszyscy u sąsiadów byli na chrzcinach w wieczór niedzielny, czy też przez ten czas zaszedł kto obcy do ich chaty i uprowadził z sobą dziecko. Dość, że wszelki ślad zaginął. A ponieważ Grzybowo, lasami gęstymi otoczone, leżało w okolicy pozbawionej wszelkiej straży bezpieczeństwa publicznego — nie było komu dać znać o wypadku, nie było kogo wzywać na pomoc w poszukiwaniach.

— Słuchajcie, Jacenty, idźcie sobie teraz do domu wypocząć po tych kilku dobach bezsennych, wyśpijcie się i Socharską uspokójcie; niech po córce nie płacze. Przyrzekam wam, że razem ze swymi kolegami będę dopóty szukał, dopóki wam nie powiem, co się z Tośką stało, albo sam ją do was przyprowadzę.

Dał się stary stróż nakoniec namówić, ale odchodząc, jeszcze raz zawrócił, żeby upomnieć panicza, by dobrze zatarł nogą, gdy ogarek papierosa rzuci na ziemię. Bo to już taki rok nieszczęśliwy, że co noc pożoga w którejś wsi i widać łunę nie z tej, to z owej strony, a już najczęściej w okolicy ogień powstawał od papierosa.

— Ja sam wiem, paniczu, jak trudno się powstrzymać, kiedy się przyzwyczaiło palić, a przecież chociażem taki stary, pilnuję się, żeby se nie zakurzyć na nocnej stanicy, ino za dnia, gdzie bezpieczniej — mruczał, odchodząc, gdy młody Zawisza biegł za nim wzrokiem i sercem, pełen myśli, jak sobie począć, by nie tylko tych starych, ale tę całą gromadę młodzieży wiejskiej przede wszystkim oduczyć od palenia raz na zawsze, zarówno dla owych względów niebezpieczeństwa pożaru, jak dla pobudek głębszych, im nieznanych, a dla harcerzy zrozumiałych.

Noc była bardzo chłodna, więc Leszek żwawym krokiem ruszył z miejsca, żeby rozgrzać się ruchem. Wśród ciszy i ciemnicy obchodził po kolei zabudowania gospodarskie, przypominał sobie po drodze wszystkie dobrze znajome w grzybowskim dworze z lat poprzednich, a wśród tego układał plan działania, nagle odmieniony z powodu wiadomości o zaginionym dziecku. Na pierwsze dni miał inne zamiary i już o nich rozmawiał w ciągu podróży z Krakowa z towarzyszami, teraz jednak należy zastosować wszystko do pilnej potrzeby pomożenia biednej Socharskiej w odszukaniu jedynaczki.

Co pewien czas ze swego stróżowskiego obchodu powracał do gumna, by jako czatownik obozowy sprawdzić, co się dzieje z jego Lwami śpiącymi na sianie — i dalej krążył po obejściu dworskim, często oświetlanym błyskawicą dalekiej burzy, która od kilku godzin bokiem przechodziła, dając znać o sobie słabym echem pomrukiwania grzmotów.

Jak sobie począć, by odnaleźć ślady Tośki Czarnuszki — Leszek wreszcie obmyślił i plan w ogólnych zarysach miał już gotowy, gdy nadszedł czas zmiany warty.

Z przed wielkich wrót stodoły, na widok wschodzącego z za lasu słońca, powitał dzień krótką modlitwą, wszedł do środka, pogasił niepotrzebne w blaskach dnia nocne lampy i zbliżył się do siana, gdy naraz zadźwięczały dwa dzwonki głosem przytłumionym; jeden z głębi siana, drugi na jego piersi. To budziki kieszonkowe, nastawione na czwartą rano, dawały jednocześnie znać obu czatownikom, że czas spać pierwszemu, a wstawać drugiemu dla zajęcia stanowiska. Poskoczył Zawisza do legowiska Janusza, który zerwał się, gotów do wstania.

(Ciąg dalszy nastąpi).